REJESTR DOTYCZY:

Nr. rejestracyjny

KINDLEIN Kazimiera Wanda /Zula/

z d. Kowalska

s/c ..... i .....

z d. .....

ur. 1.10.1925 w .....

kraj: .....

zm. 24.4.1994 w Londyn

kraj: Wielka Brytania

pochowany spopielona

Dane personalne

Podharcmistrzyni

Źródła i bibliografia

Dziennik Polski 29.4 i 3.5.1994 - nekrologi

Tydzień Polski 30.4.1994 - nekrolog

" " 29.4. i 6.5.1994 - wspomnienia własne

D.P. 29.4.1994 Ś. † P.

KAZIMIERA WANDA KINDLEIN

znana wszystkim jako Zula

najukochańsza Żona, Mamusia i Babcia zasnęła w Panu 24 kwietnia 1994 r. zmożona pięcioletnią walką z nieuleczalną chorobą.

Podharcmistrzyni i instruktorka harcerska z Ain-Karem do końca dawała przykład jak żyć według prawa harcerskiego i znosić swój los bez słowa skargi. Świat bez Niej nie będzie dla najbliższych już taki sam.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Road, London W12 w czwartek 5 maja 1994 r. o godz. 11.30, po czym nastąpi spopielenie w krematorium Mortlake.

Pogrążeni w głębokim smutku zawiadamiają

MĄŻ, CÓRKA, ZIĘĆ I WNUCZKA
ORAZ RODZINA W POLSCE I WE WŁOSZECH

Zamiast kwiatów prosimy składać dary na Imperial Cancer Research Fund, PO Box 123, Lincoln's Inn Field's, London WC2A 3PX.

2336/2/45

T.P. 30.4.1994 Ś. † P.

KAZIMIERA WANDA KINDLEIN

znana wszystkim jako Zula

najukochańsza Żona, Mamusia i Babcia zasnęła w Panu 24 kwietnia 1994 r. zmożona pięcioletnią walką z nieuleczalną chorobą.

Podharcmistrzyni i instruktorka harcerska z Ain-Karem do końca dawała przykład jak żyć według prawa harcerskiego i znosić swój los bez słowa skargi. Świat bez Niej nie będzie dla najbliższych już taki sam.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Road, London W12 w czwartek 5 maja 1994 r. o godz. 11.30, po czym nastąpi spopielenie w krematorium Mortlake.

Pogrążeni w głębokim smutku zawiadamiają

MĄŻ, CÓRKA, ZIĘĆ I WNUCZKA
ORAZ RODZINA W POLSCE I WE WŁOSZECH

Zamiast kwiatów prosimy składać dary na Imperial Cancer Research Fund, PO Box 123, Lincoln's Inn Field's, London WC2A 3PX.

2336/2/45

D.P. 29.4.1994

Z ogromnym smutkiem żegnamy
Ś. † P.

ZULĘ KINDLEIN

naszą długoletnią Koleżankę, której nigdy nie opuszczała pogoda ducha.

PRACOWNICY *DZIENNIKA POLSKIEGO*

Dyrektorowi Lucjanowi Kindlein, córce Ewie i całej rodzinie składamy wyrazy szczerego współczucia.

2335/2/46

D.P. 27.4.1994 Ś. † P.

KAZIMIERA (ZULA) KINDLEIN

zmarła 24 kwietnia 1994 r. w Londynie

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Road, London W12, w czwartek 5 maja 1994 roku o godzinie 11.30.

2332/2/41

D.P. 27.4.99 Ś. † P.

ZULA KINDLEIN

W piątą bolesną rocznicę śmierci Zuleńki
we wtorek 27 kwietnia 1999 r. o godz. 19.00
w kościele św. Andrzeja Boboli, London W12
zostanie odprawiona msza święta poświęcona Jej pamięci

Zawiadamiają

MĄŻ I CÓRKA Z RODZINĄ

2235

D.P. 26.4.99 Ś. † P.

ZULA KINDLEIN

W piątą bolesną rocznicę śmierci Zuleńki
we wtorek 27 kwietnia 1999 r. o godz. 19.00
w kościele św. Andrzeja Boboli, London W12
zostanie odprawiona msza święta poświęcona Jej pamięci

Zawiadamiają

MĄŻ I CÓRKA Z RODZINĄ

2235

D.P. 3.5.94. Ś. † P.

KAZIMIERA (Zula) KINDLEIN

z domu Kowalska

ur. 1 października 1925 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarła 24 kwietnia 1994 r. w Londynie.

B. uczennica szkoły w Ain-Karem w Palestynie, podharcmistrzyni, wieloletnia członkini Zarządu i przewodnicząca Komisji Rewizyjnej Ain-Karem.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Road, Londyn W12, w czwartek 5 maja 1994 r. o godz. 11.30, po czym następi spopielenie w Mortlake Crematorium.

Z wielkim smutkiem i żalem żegnamy Drogą Zulę, która pozostawiła po sobie niezastąpioną pustkę w naszym gronie.

KOLEŻANKI I KOLEDZY
ZE ZWIĄZKU AIN-KAREM

2347/2/58

Panu Dyrektorowi Lucjanowi Kindlein i Ewuni wyrazy najgłębszego współczucia po stracie najukochańszej Żony i Mamusi

T.P. 30.4.1994

Ś. † P.

ZULI KINDLEIN

a mojej nieodżałowanej Koleżanki, która zawsze służyła mi przyjacielską radą i pomocą składa

KRYSTYNA REES Z RODZINĄ

2337/2/47

W pierwszą bolesną rocznicę śmierci

D.P. 21.4.95. Ś. † P.

ZULI KINDLEIN

dnia 24 kwietnia 1995 r., poniedziałek, o godz. 10 rano w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Rd., zostanie odprawiona msza święta żałobna za spokój Jej duszy.

MĄŻ Z RODZINĄ
I PRZYJACIELE

2301/2/33

T.P. 22.4.95. W pierwszą bolesną rocznicę śmierci

Ś. † P.

ZULI KINDLEIN

dnia 24 kwietnia 1995 r., poniedziałek, o godz. 10 rano w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Rd., zostanie odprawiona msza święta żałobna za spokój Jej duszy.

MĄŻ Z RODZINĄ
I PRZYJACIELE

2301/2/33

Wszystkim uczestnikom uroczystości pogrzebowych i pożegnania naszej ukochanej

Ś. † P.

ZULI KINDLEIN

w dniu 5 maja 1994 r. w kościele św. A. Boboli, księdzu proboszczowi Ryszardowi Juszczakowi, Irmie Stypułkowskiej, Bolkowi Siwcowi, Przedstawicielom władz emigracyjnych i Przyjaciołom oraz licznym Koleżankom i Kolegom z Ain-Karem za przybycie i słowa otuchy,

serdecznie dziękujemy

LUCJAN KINDLEIN
EWA, TIM I ELIZABETH GASKIN

2385/1/18 D.P. 16.5.94.

D.P. 22.4.1996

W drugą bolesną rocznicę śmierci ukochanej

Ś. † P.

ZULI KINDLEIN

dnia 23 kwietnia 1996 r. o godz. 10 w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Rd., London W12, zostanie odprawiona msza św. poświęcona Jej Pamięci.

Zawiadamiają

MĄŻ, CÓRKA, ZIĘĆ I WNUCZKA

2293/2/38

T.P. 20.4.1996

W drugą bolesną rocznicę śmierci ukochanej

Ś. † P.

ZULI KINDLEIN

dnia 23 kwietnia 1996 r. o godz. 10 w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Rd., London W12, zostanie odprawiona msza św. poświęcona Jej Pamięci.

Zawiadamiają

MĄŻ, CÓRKA, ZIĘĆ I WNUCZKA

2293/2/38

D.P. 25.4.1997 Ś. † P.

ZULA KINDLEIN

w trzecią bolesną rocznicę śmierci Zuleńki, dnia 26 kwietnia 1997 r. o godz. 10.00 , w kościele św. A. Boboli zostanie odprawiona msza św. poświęcona Jej pamięci.

Zawiadamiają

MĄŻ
I CÓRKA Z RODZINĄ

2320

D.P. 24.4.1997 Ś. † P.

ZULA KINDLEIN

w trzecią bolesną rocznicę śmierci Zuleńki, dnia 26 kwietnia 1997 r. o godz. 10.00 , w kościele św. A. Boboli zostanie odprawiona msza św. poświęcona Jej pamięci.

Zawiadamiają

MĄŻ
I CÓRKA Z RODZINĄ

2320

D.P. 24.4.1998 Ś. † P.

ZULA KINDLEIN

w czwartą bolesną rocznicę śmierci Zuleńki,

w piątek 24 kwietnia 1998 r. o godz. 19.00,

w kościele św. Andrzeja Boboli, 1 Leysfield Road, W12

zostanie odprawiona msza św. poświęcona Jej pamięci.

Zawiadamiają

MĄŻ I CÓRKA Z RODZINĄ

2271

AIN KAREM, Komunikat Nr. 60, wrzesień 1995

24-go kwietnia b.r. na mszy św. za Ś.P. Zulę KINDLEIN w pierwszą rocznicę Jej śmierci w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie wśród przyjaciół i znajomych znalazła się duża grupa ainkaremianek. W londyńskim Dzienniku Polskim ukazały się dwa odcinki wspomnień Zuli z Jej pobytu na Syberii.

T.P. 29.4.1995 Z. Kindlein Cz. II 6.5.95

Wspomnienia Zuli Kindlein z nieludzkiej ziemi. Część I

Początek wędrówki

OPUŚCILIŚMY Warszawę 5 września 1939 roku, kiedy nasz ojciec, urzędnik Najwyższej Izby Kontroli dostał polecenie wyjazdu ze stolicy, w ramach ewakuacji ministerstw. Kiedy zobaczył co się dzieje na dworcu wrócił do domu i w nocy kazał nam spakować co najpotrzebniejsze rzeczy mówiąc, że odwiezie nas na Wołyń na swoją osadę wojskową, pod Krzemieńcem, gdzie gospodarował dziadek. Tam będzie bezpiecznie z dala od bombardowania i armii niemieckiej. Bardzo nam się to nie podobało, bo mieliśmy już swoje plany i wyznaczone zbiórki harcerskie, jak w Gimnazjum Królowej Jadwigi, a brat u Rejtana.

Ojciec jednak nie dał się przekonać, mówiąc, że nie miałby chwili spokoju, gdyby nas w Warszawie zostawił.

Wróciliśmy więc w nocy na dworzec i po wielu godzinach czekania wypełniony pociąg ruszył w kierunku południowym. Co parę godzin byliśmy bombardowani przez niemieckie samoloty i trzeba było uciekać w pole, lub chować się w zaroślach. Parę osób przy tym zginęło i to był nasz pierwszy posmak tej wojny przeciwko ludności cywilnej. Po dwóch dniach dojechaliśmy do Kamienicy Wołyńskiej i stamtąd ojciec wysłał nas wynajętą furmanką do Katerburga, do osady Witosowo. Sam pojechał na swoje miejsce spotkania.

Zobaczyliśmy go jeszcze po paru dniach, kiedy zjawił się na parę godzin, aby zostawić nam trochę pieniędzy przed wyjazdem za granicę. Pożegnaliśmy się z ojcem i wtedy nie przypuszczałam, że już nigdy go nie zobaczę.

W bardzo krótkim czasie, bo już 17 września wojska sowieckie (po zawarciu paktu Hitlera ze Stalinem) wkroczyły do wschodniej Polski i tak skończyło się nasze „bezpie-

Była z nami ciotka, która przyjechała w odwiedziny z Ameryki i jej syn Zdzisław.

Brat z kuzynem znikali często wieczorami z domu i dopiero dużo później dowiedziałam się, że zakopywali broń, którą należało oddać okupantom.

Zima zrobiła się na dobre, przeszło pierwsze smutne Boże Narodzenie i zaczęliśmy namawiać mamę o powrót do Warszawy, bo tu się nic nie dzieje...

Nagle 10 lutego 1940 roku o 2-giej w nocy zadudniły korby karabinów o drzwi, wpadło do domu kilku żołdaków sowieckich z porucznikiem na czele mówiąc *sobierajties z wieszczami — my was peresielajem w druguju obłaść*. Brata i kuzyna spytali czy mają broń i po rewizji kazali im się ubrać i posadzili na krześle, przy każdym stanął żołnierz z wymierzonym karabinem. Dziadkowi, mamie, amerykańskiej cioci i mnie kazali się ubrać i spakować najpotrzebniejsze rzeczy i trochę jedzenia. Po dwóch godzinach załadowali nas na wozy i powieźli na stację kolejową do Krzemieńca. Tam wepchnęli nas do przepełnionego bydlęcego wagonu i zatrzasnęli drzwi.

PIERWSZA noc była koszmarna. Ścisk, zaduch, płacz i rozpacz rozłączonych rodzin. Musieliśmy się jednak jakoś zorganizować. Pomału ułożono rzeczy. Na piętrowych deskach (narach) rodziny zrobiły sobie posłania. W środku wagonu stał żelazny piecyk i było trochę drzewa do palenia. Dziura w kącie wagonu służyła potrzebom sanitarnym.

Wody nie było, nikt do nas nie przychodził... Tak przeszedł dzień i noc. Wreszcie zjawił się jakiś komendant ze świtą i matka zaczęła upominać się o wypuszczenie naszych „Amerykanów", których zupełnie bezprawnie z nami zabrano. Na szczęście matka dosyć ostro i

mał się i pozwolono dwojgu dzieciom pójść z wiadrami po wodę. A był już najwyższy czas. Małe dzieci ginęły z pragnienia, a do tej pory udało nam się tylko zgarnąć trochę śniegu przez małe okienko przy dachu wagonu, co dało odrobinę wody.

Po raz pierwszy ugotowaliśmy zupę z kaszą i obdzieliliśmy nią wszystkich. Każdy jeszcze miał jakieś zapasy chleba i trochę innych produktów. Kaszę i kluski gotowaliśmy dla wszystkich do końca tej podróży. Po kilku dniach w tych nieludzkich warunkach okazało się, że w naszych ubraniach zalęgły się wszy. O myciu nie było mowy, bo po wodę wypuszczali dwie osoby, raz na dzień, co ledwo starczyło do gotowania i picia.

Po dwóch tygodniach pociąg zatrzymał się na małej stacyjce i tam kazali nam wysiadać. Mróz był okropny i śnieg gdzie okiem spojrzeć. Czekał na nas cały rząd prymitywnych sani z dwoma kołchoźnikami na przodzie i na końcu tego pochodu. Załadowaliśmy rzeczy na sanie. Kobietom, dzieciom i starszym pozwolono jechać, a młodzież musiała iść za saniami. Kilku żołnierzy pilnowało nas, czasem przysiadając na saniach. Drogę tę, dobrze pamiętam, bo co parę kilometrów mizerna szkapa zapadała się w śnieg czy jakiś rów, a my opatuleni w pierzynę i w co się dało, wypadaliśmy na śnieg zatrzymując cały pochód, gramoląc się z powrotem na sanie, cali utytłani w śniegu.

Na noc zatrzymywaliśmy się we wioskach, gdzie mieliśmy nocleg w nie opalanej sali i tam dostawaliśmy przydział chleba, zupy, albo „kipiatku" i zwykłe śledzie, po których mieliśmy straszne pragnienie przez całą noc.

Mijaliśmy całe zamożne wsie opuszczone przez mieszkańców, domy i obejścia zabite deskami — jak wieś umarłych! Jak nam powie-

ka, o 5-tej rano, przed pracą. Szklanka wody na czczo bardzo dobrze robi!

Baraki były podzielone deskami na małe pomieszczenia, a w środku również oddzielony stał piec żelazny z czterema fajerkami, w którym paliło się drzewem. Drzewa było pod dostatkiem — tylko trzeba go było ściąć, porżnąć na kawałki i porąbać. W naszym baraku mieszkało 6 rodzin i wszyscy gotowali na tym piecu. Bardzo szybko skończyła się przywieziona z domu kasza i mąka. W stołówce dostawaliśmy rano owsiankę z plewami, do której dodawano łyżeczkę oleju. Zwykle olej wybierało się i służył do smażenia. Wieczorem, po pracy wydawali zupę, zwykle cienkie *szczy* (z kapusty), czasem z kawałkami solonej ryby. Na drugie danie znowu kasza, czasem *łapsza* (kluski) albo kartofle z jakimś sosem. Nasza żywność czasem była lepsza, przeważnie w czasie spławu, w miesiącach letnich, kiedy przyjeżdżały brygady sowieckich robotników. Wtedy było lepsze zaopatrzenie i my pracując na tych samych robotach dostawaliśmy czasem kawałek mięsa czy ryby.

Rzeka odmarzała tylko na 3 miesiące i był to okres kiedy trzeba było wykonać najważniejszą robotę, tzn. przygotować i posegregować ścięte drzewa do spławu. Zakładano szereg pomostów, na których stali robotnicy z bosakami kierując drzewo według grubości, do odpowiednich kanałów, gdzie inni robotnicy wiązali tratwy wiciami z brzozowego drzewa, które były uprzednio przygotowane przez nasze kobiety. Kręcenie tych wici należało do lekkich prac. Było to jednak zajęcie bardzo monotonne i wymagające dużej siły w rękach. Chodziłyśmy naokoło grubego pa-

la z dziurą, u nasady której były włożone cienkie wici (gałęzie) rozczepione u końca, wkładało się do szpary sznur, do niego kawałek grubego patyka, którym kręciło się jednocześnie chodząc naokoło pala i nakręcając na niego wici. Po wyjęciu były one gotowe do wiązania tratw. Takie to prymitywne, ciężkie roboty musiałyśmy wykonywać. Sortowanie drzewa było dosyć niebezpieczne, bo wszystko dobywało się w pośpiechu.

Przy tym wszystkim byliśmy zjadani żywcem przez malaryczne komary i tak zwaną „meszkę". Krótkie lato było bardzo upalne. Pracowaliśmy 6 dni w tygodniu, a 7 był wolny. Jedyną przyjemnością w ciągu lata była przejażdżka łódką na drugą stronę rzeki, gdzie rosły całe masy czerwonych jagód. Sypało się je do beczki, gdzie zamarzały w zimie. Była to nasza jedyna witamina, tak długo jak starczyło zapasów. W zimie trwał paraliżujący mróz, ale na robotę trzeba było wychodzić, bo za spóźnienie, nawet 5-cio minutowe groził *proguł*, za który można było nawet pójść do więzienia. Do najgorszych robót należało odgarnianie śniegu z drzewa, przygotowanego na spław. Nie miało to żadnego sensu, bo śnieg i tak stopniał, ale należało nas wyganiać codziennie na robotę.

Życie na posiołku

NAJWIĘKSZĄ trudność sprawiało przystosowanie się do tak odmiennych warunków życia i otoczenia. Większość rodzin stanowili osadnicy, przyzwyczajeni do ciężkiej pracy na roli i do życia na wsi. My jednak pochodziliśmy z miasta i byliśmy zupełnie nie przygotowani do ciężkiej pracy fizycznej.

nęło i to był nasz pierwszy posmak tej wojny przeciwko ludności cywilnej. Po dwóch dniach dojechaliśmy do Kamienicy Wołyńskiej i stamtąd ojciec wysłał nas wynajętą furmanką do Katerburga, do osady Witosowo. Sam pojechał na swoje miejsce spotkania.

Zobaczyliśmy go jeszcze po paru dniach, kiedy zjawił się na parę godzin, aby zostawić nam trochę pieniędzy przed wyjazdem za granicę. Pożegnaliśmy się z ojcem i wtedy nie przypuszczałam, że już nigdy go nie zobaczę.

W bardzo krótkim czasie, bo już 17 września wojska sowieckie (po zawarciu paktu Hitlera ze Stalinem) wkroczyły do wschodniej Polski i tak skończyło się nasze „bezpieczeństwo" na wsi... Zostaliśmy z bratem wysłani do Liceum Krzemienieckiego, ale nasza edukacja nie trwała długo, gdyż pod kontrolą nowych władz zaczęto nam opowiadać takie herezje, że szybko zbuntowaliśmy się i wróciliśmy na wieś, czekając co będzie dalej.

PIERWSZA noc była koszmarna. Ścisk, zaduch, płacz i rozpacz rozłączonych rodzin. Musieliśmy się jednak jakoś zorganizować. Pomału ułożono rzeczy. Na piętrowych deskach (narach) rodziny zrobiły sobie posłania. W środku wagonu stał żelazny piecyk i było trochę drzewa do palenia. Dziura w kącie wagonu służyła potrzebom sanitarnym.

Wody nie było, nikt do nas nie przychodził... Tak przeszedł dzień i noc. Wreszcie zjawił się jakiś komendant ze świtą i matka zaczęła upominać się o wypuszczenie naszych „Amerykanów", których zupełnie bezprawnie z nami zabrano. Na szczęście matka dosyć ostro i dobrym językiem rosyjskim przedstawiła ich sprawę tak, że na drugi dzień zostali wypuszczeni na wolność i nawet oddali im paszporty.

Ruszyliśmy wreszcie w stronę granicy rosyjskiej i przejechaliśmy Szepetówkę. Dopiero na 5-ty dzień, już na ziemi rosyjskiej, pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Wyładowano nas i przysiadając na saniach. Drogę tę, dobrze pamiętam, bo co parę kilometrów mizerna szkapa zapadała się w śnieg czy jakiś rów, a my opatuleni w pierzynę i w co się dało, wypadaliśmy na śnieg zatrzymując cały pochód, gramoląc się z powrotem na sanie, cali utytłani w śniegu.

Na noc zatrzymywaliśmy się we wioskach, gdzie mieliśmy nocleg w nie opalanej sali i tam dostawaliśmy przydział chleba, zupy, albo „kipiatku" i zwykłe **śledzie**, po których mieliśmy straszne pragnienie przez całą noc.

Mijaliśmy całe zamożne wsie opuszczone przez mieszkańców, domy i obejścia zabite deskami — jak wieś umarłych! Jak nam powiedziano, były to wsie zamieszkałe niegdyś przez zamożnych „kułaków", których, jak nas, wyrzucono z domów i popędzono gdzieś dalej na Syberię — do obozów pracy.

Dnia 4 marca 1940 r. (pamiętny dzień — moje imieniny!) przyjechaliśmy wreszcie na nasz „posiołek". Było nas 44 rodziny, przeważnie osadnicy wojskowi z pierwszej wojny i kilka mężczyzn zabranych z więzienia w Krzemieńcu. Między nimi przyjaciel moich rodziców, pan Stanisław Wnęk i pan Julian Czaplicki. Rodzinę p. Wnęka wywieźli osobno, gdzieś do Kazachstanu. Pan Wnęk był od razu aresztowany, ponieważ był posłem na Sejm. Pan Czaplicki był chyba sędzią lub prawnikiem. Wspominam ich bo byli nam najbardziej bliscy na zesłaniu.

POSIOŁEK nasz nazywał się „Jarenga" i był położony nad dużą rzeką Weczegdą, dopływem Dźwiny. Do miasteczka Jareńsk było 7 km wzdłuż rzeki. Byliśmy jakieś 200 km na płn.-wschód od Kotłasa. Naokoło były wielkie lasy iglaste — sosny i świerki. Osiedle składało się z 3 dużych, drewnianych baraków, domu komendanta, kuchni ze stołówką, sklepiku, „bani" (łaźni) i domku nad brzegiem rzeki, gdzie kobieta tamtejsza gotowała rano i wieczorem *kipiatok*. Chodziło się po niego z wiadrem, też z garnczkiem na odgłos dzwon-

siące i był to okres kiedy trzeba było wykonać najważniejszą robotę, tzn. przygotować i posegregować ścięte drzewa do spławu. Zakładano szereg pomostów, na których stali robotnicy z bosakami kierując drzewo według grubości, do odpowiednich kanałów, gdzie inni robotnicy wiązali tratwy wiciami z brzozowego drzewa, które były uprzednio przygotowane przez nasze kobiety. Kręcenie tych wici należało do lekkich prac. Było to jednak zajęcie bardzo monotonne i wymagające dużej siły w rękach. Chodziłyśmy naokoło grubego pa-

to żadnego sensu, bo śnieg i tak stopniał, ale należało nas wyganiać codziennie na robotę.

Życie na posiołku

NAJWIĘKSZĄ trudność sprawiało przystosowanie się do tak odmiennych warunków życia i otoczenia. Większość rodzin stanowili osadnicy, przyzwyczajeni do ciężkiej pracy na roli i do życia na wsi. My jednak pochodziliśmy z miasta i byliśmy zupełnie nie przygotowani do ciężkiej pracy fizycznej.

Wspomnienia Zuli Kindlein...

(Dokończenie ze str. 7)

Podczas całego naszego pobytu na Syberii nie słyszałam nigdy, żeby matka moja skarżyła się na te okrutne warunki, w przeciwieństwie do niektórych osadniczek, które często poddawały się rozpaczy i zupełnie straciły wiarę, że kiedykolwiek czeka je lepsza przyszłość.

Pokój nasz w baraku był bardzo mały. Na jednej pryczy (trzy deski i materac) spał dziadek, na drugiej brat, a trzecia, nieco poszerzona była dla mnie i dla matki.

Mama i Zbyszek od początku musieli iść do pracy. Dzieci do lat czternastu chodziły codziennie do szkoły, która mieściła się w wiosce o jakieś 5 kilometrów od posiołka. Ja niestety już skończyłam 14 lat, więc również musiałam iść do pracy. Wychodziło się o 6-tej rano i pracowało cały dzień z przerwą na „obiad" (kawałek chleba). Najbardziej dokuczał nam mróz, około 40°, a nie mieliśmy przecież odpowiedniego ubrania. Nogi owijało się w różne szmaty, bo w naszych miejskich bucikach daleko się nie zaszło.

Po pewnym czasie przywieziono trochę fufajek (kurtki watowane), które były bardzo ciepłe i lekkie, ale z naszej rodziny tylko mama dostała, jako dobry pracownik. Przywieziono też walonki, które były odpowiednim obuwiem na ten klimat, ale znowu dla wszystkich nie starczyło i tylko mama

> I prawdę po świecie niesie —
> Prawdę o jeńców tysiącach
> Zgładzonych w katyńskim lesie.
>
> 23 kwietnia 1965 r.

dostała jedną parę. Roboty były rozmaite. Najgorsza robota, na którą byłam posłana w zimie, to było czyszczenie starej barki, która zamarzła na rzece, niedaleko naszych baraków. Pracowało się prawie w ciemnościach rozbijając kawałki lodu, który pokrywał pokład i dolne pomieszczenie barki. Była to znowu robota bez celu, kiedy ręce zmarzały i nic nie było widać dookoła. Jak się trochę ociepliło zaczęły się przygotowania do spławu. Chodziliśmy z całą brygadą do lasu, gdzie nauczono nas ścinać wysokie sosny. Pracowałyśmy z mamą, naprzód podcinając siekierą pień drzewa od strony na którą miało spaść, a potem piłowałyśmy dwuosobową piłą, aż do zwalenia. Zbyszek był przydzielony do najcięższych robót; było to wiązanie tratew na spławie, grubymi, stalowymi linami o średnicy ręki, oraz zwożeniem drzewa związanego tymi linami nad brzeg rzeki. W zimie jego brygada wysyłana była na różne ciężkie roboty, jak na przykład rozbiórka wieży kościelnej w miasteczku Jareńsk.

Z tego okresu pamiętam wydarzenie, które mogło się bardzo źle skończyć. Pewnego dnia dostaliśmy zawiadomienie, że mamy paczkę do odebrania na poczcie, w miasteczku. W następny dzień wolny od pracy dostałam pozwolenie od komendanta, żeby pójść i odebrać tę przesyłkę. Ucieszyliśmy się nie tylko z paczki, ale również z okazji odwiedzenia brata; który ze swoją brygadą pracował przy rozbiórce kościoła. Wyszłam z drugą dziewczyną, (której rodzina również dostała paczkę, a ojciec pracował razem z bratem) wcześnie rano, żeby zdążyć na wieczór z powrotem. Mróz był okropny, ale szłyśmy dziarsko, podniecone zmianą, w naszym monotonnym codziennym życiu.

Dostaliśmy 3 paczki od babci z Tarnopola, były one nieocenione. Aspiryna, trochę waty, czy chininy było na wagę złota. Trochę tłuszczu czy konserw racjonowało się na wiele dni. Niestety paczki urwały się bardzo szybko. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, że babcia z rodziną została wywieziona przez Niemców do obozu, za przechowanie Talmudu i paru innych ksiąg żydowskich, o co ich prosił znajomy rabin. Ślad po babci zaginął.

TYMCZASEM nadeszło długie upragnione lato i zjechały brygady sowieckie, żeby pracować na spławie. Ja zostałam przydzielona do stołówki, jako *sudomojka* czyli pomywaczka. Musiałam wstawać o czwartej rano, iść do stołówki i nanosić wody do trzech ogromnych kotłów. Zaczęłam tę pracę w zimie, kiedy rzeka była zamarznięta. Wodę nabierało się z przeręblа, który musiałam sama zrobić, używając łomu i siekiery. Miałam 2 wiadra, które nosiłam na koromeśle, wspinając się po oblodzonych schodkach na wysoki brzeg. Każdego dnia musiałam schodzić do rzeki wiele razy żeby napełnić 3 duże kotły. Następnie rozpalałam piece, żeby woda zagotowała się, nim przyjdzie kucharka.

(Koniec części pierwszej)

T.P. 29.IV.1995

Wspomnienia Zuli Kindlein z nieludzkiej ziemi. Część II

W czasie wydawania zupy, czy kaszy musiałam zmywać wszystkie naczynia, włącznie z kotłami, żeby były gotowe na wieczór. Najgorsze jednak było codzienne szorowanie podłogi! Kiedy pierwszy raz stanęłam do tej roboty nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. W międzyczasie cała załoga kuchenna patrzyła na moje wysiłki i zaśmiewała się z moich trudów. Wreszcie nadszedł *zawiedujszczy* (kierownik) i razem z innymi zaczął naigrywać się z „polskich panów", którzy nie mają pojęcia o higienie, bo jakże to, żeby *diewoczka* lat 14 nie wiedziała jak się myje podłogę! Niestety moje obowiązki nie kończyły się tylko na myciu podłogi.

Musiałam czyścić również śmierdzące ryby, na których gotowało się zupy. Dziwne, że nikt się jakoś nie zatruł. Ale pewnego dnia ukłułam się w palec i dostałam zakażenia. Miałam gorączkę ale nie zwolniono mnie z pracy. Palec był coraz gorzej spuchnięty i pulsujący, ale to nie wzruszało naszej *doktorszy*, która dawała zwolnienie z pracy tylko przy wysokiej gorączce. Po paru dniach dostałam jednak zwolnienie i infekcja przechodziła już na rękę. Sytuacja stała się naprawdę poważna, kiedy *doktorsza* (kwalifikacje: 6-cio tygodniowy kurs sanitarny) oświadczyła, że utnie mi palec, bo inaczej dostanę gangreny. Oczywiście, sprzeciwiłam się temu i czekaliśmy aż ropień pęknie. Kiedy to się stało, mieliśmy jeszcze trochę waty i wody kolońskiej, więc wyczyściłam ranę jak mogłam i pomału wszystko się zagoiło. Jednak kawałek palca brakuje i przypomina mi pracę w stołówce. W okresie spławu awansowałam na *oficjankę*, tzn. kelnerkę, bo okazało się, że dotychczasowa dziewczyna nie umiała sobie poradzić z wydawaniem reszty robotnikom. Ta praca podobała mi się o wiele lepiej, bo stale coś się działo i byłam na powietrzu w czasie tego krótkiego lata.

polskie pany a u nich griazno! (brudno).

Mimo że nie było warty koło posiołka, nie wolno nam było wychodzić poza obręb zabudowań, chyba że z brygadą do pracy. Kiedy już skończyły się nam wszystkie zapasy, postanowiłam pójść do komendanta z prośbą o przepustkę na wieś. Chłopi kołchoźnicy sami niewiele mieli, bo im wszystko zabierali, ale czasami można było coś z rzeczy zamienić na kartofle, czy trochę mąki.

Z duszą na ramieniu poszłam więc do komendanta z prośbą o przepustkę. Po wysłuchaniu mojej prośby kazał mi usiąść i nastawił gramofon mówiąc: *słuszajtie pieśni* (najwidoczniej chciał pokazać jak to u niego *kulturnie*). Po wysłuchaniu jakiejś sowieckiej propagandy, czekałam co będzie dalej. Komendant wtedy wygłosił do mnie przemówienie wyliczając wszystkie grzechy naszej rodziny. Oczywiście przepustki nie dostałam. Szybko opuściłam jego biuro, bo z trudem powstrzymywałam się od śmiechu. Po pewnym czasie, kiedy już głód dawał się nam dobrze we znaki, postanowiłam jednak pójść na wieś bez pozwolenia. Wyszłam bardzo wcześnie rano. W wiosce udało mi się zamienić prześcieradło na 2 pudy kartofli, więc wracałam do domu bardzo szczęśliwa. Szliśmy drogą z powrotem, a ja ciągnęłam na prymitywnych saneczkach worek z kartoflami. W pewnym momencie usłyszeliśmy z tyłu dzwoneczki. Na drodze za nami ukazały się sanie. Ktoś jechał do naszego posiołka! Struchlałam! Nie było gdzie się schować, bo po obu stronach koleiny był głęboki, zamarznięty śnieg. Usunęliśmy się z drogi, żeby sanie mogły przejechać, jak skuliłam się w sobie i czekałam co będzie. Na moje nieszczęście był to sam pan komendant ze swoją żoną, którzy wracali z miasteczka. Przejechali koło nas a komendant uważnie nam się przyjrzał. Dowlekłam się do

dobno tworzy się polska armia, na zasadzie układu Sikorski-Majski. Komendant z NKWD, który przyjechał żeby nam to powiedzieć, obiecał że w najbliższym czasie dostaniemy *Udostowierenia*, które upoważnią nas do wyjazdu. Była to wiadomość tak niespodziewana, że trudno było w nią z początku uwierzyć! Podejrzewaliśmy jakiejś pułapki, ale kiedy zaczęto wydawać ten dokument, okazało się, że to jednak prawda.

Ludzie pomału zaczęli przygotowywać się do wyjazdu, ale niestety, okazało się że dla naszej rodziny nie ma pozwolenia. Nie wiem, czy maczał w tym palce nasz komendant. Po interwencji matki przysłano dokumenty dla Zbyszka i dla mnie, ale dla dziadka i mamy — nie.

Zrobiliśmy naradę familijną i postanowiliśmy, że Zbyszek musi jechać i interweniować u władz polskich, żeby mama i dziadek dostali pozwolenie na wyjazd. W październiku pożegnaliśmy więc Zbyszka, który wyjeżdżał z ciężkim sercem nie wiedząc, kiedy się znowu zobaczymy.

* * *

Zostaliśmy więc sami w pustych barakach: mama, dziadek i ja... ale nie na długo! Po paru tygodniach nasz barak zapełnił się całkowicie. Wokół nas rozbrzmiewała dziwna mowa, przy akompaniamencie płaczu dzieci i kłótni kobiet — w obcym języku. Okazało się, że przywieźli do nas prostytutki z Karelii, razem z dziećmi, których każda miała po kilkoro.

Dla nas zaczęła się gehenna. My obydwie chorowałyśmy na malarię, a dziadek był coraz słabszy. Tymczasem w styczniu nareszcie przyszło *udostowierenie* dla mamy i dziadka, ale o wyjeździe, nie mogło być mowy, ze względu na dziadka, który już ledwie się ruszał. Wkrótce zmarł.

Wyjazd z posiołka

W kilka dni po pogrzebie dziad-

się zepsuła. Zerwał się wiatr z północy i zaczęła się zadymka. Woźnica zgubił drogę i zaczął jeździć po jakichś wertepach. My na pół zmarznięte czekałyśmy co to z tego będzie. Zrobił się wieczór, kiedy wreszcie dobrnęliśmy do stacji. Kołchoźnik odebrał szybko swoją należność i odjechał zostawiając nas przy torze kolejowym. Stacja była zupełnie pusta. Ani żywej duszy!

Po jakimś czasie pokazał się człowiek, który powiedział, że pociąg odszedł o godzinie 4-tej, a następny będzie za tydzień. Poradził nam żebyśmy wróciły skąd przyjechałyśmy, ale oczywiście to już nie było możliwe. Chłop poskrobał się po głowie i po chwili powiedział żebyśmy szły za nim. Zaprowadził nas do *ziemlanki* to jest coś w rodzaju piwniczki, wygrzebanej w ziemi i pokrytej śniegiem. Było tam małe okienko i dym snuł się z komina. Z konieczności zatrzymaliśmy się tutaj.

Nareszcie nadszedł dzień przyjazdu pociągu. Już od rana zaczęli się zjeżdżać ludzie z okolicy. Nasz kolejarz przyrzekł nam pomóc w dostaniu się do pociągu, bo to nie było łatwe. Kiedy po południu nadszedł pociąg, okazało się, że były to znowu towarowe wagony. Nasz kolejarz podsadził nas do jednych otwartych drzwi, wrzucił za nami

nasze walizki i torbę i pociąg ruszył. Okazało się, że nasz wagon nie ma pieca i nie nadaje się w tym mrozie do dłuższej podróży!

Po kilku godzinach dojechaliśmy do Kotłasa i znalazłyśmy się na peronie. Nie bardzo wiedziałyśmy co teraz robić, kiedy już z daleka zauważyłyśmy polski mundur. Starszy sierżant podszedł, popatrzał na nas uważnie i spytał: „czy to panie Kowalskie?" ... Kiedy potwierdziłyśmy, zdumione, on uśmiechnął się i powiedział „od razu was poznałem, bo wasz syn i brat był tutaj i zgłaszał, że was zatrzymali na posiołku... wszyscy macie takie same, niebieskie oczy!"

Byłyśmy zdumione, no i zachwycone takim przyjęciem. Tymczasem sierżant pomógł nam nieść nasz bagaż i prowadził do dużej oświetlonej sali, blisko stacji, gdzie urządzono punkt zborny dla Polaków jadących do armii polskiej. Dał nam 2 łóżka, nawet z kocami, było ciepło, ktoś wygrywał skoczne, polskie melodie na organkach. Atmosfera była radosna, wszyscy mówili po polsku i chociaż niektórzy byli bardzo wycieńczeni i schorowani nastrój był optymistyczny, bo przecież byliśmy nareszcie zwolnieni i jechaliśmy do polskiego wojska!

(Koniec części drugiej)

niono mnie z pracy. Palec był coraz gorzej spuchnięty i pulsujący, ale to nie wzruszało naszej *doktorszy*, która dawała zwolnienie z pracy tylko przy wysokiej gorączce. Po paru dniach dostałam jednak zwolnienie i infekcja przechodziła już na rękę. Sytuacja stała się naprawdę poważna, kiedy *doktorsza* (kwalifikacje: 6-cio tygodniowy kurs sanitarny) oświadczyła, że utnie mi palec, bo inaczej dostanę gangreny. Oczywiście, sprzeciwiłam się temu i czekaliśmy aż ropień pęknie. Kiedy to się stało, mieliśmy jeszcze trochę waty i wody kolońskiej, więc wyczyściłam ranę jak mogłam i pomału wszystko się zagoiło. Jednak kawałek palca brakuje i przypomina mi pracę w stołówce. W okresie spławu awansowałam na *oficjankę*, tzn. kelnerkę, bo okazało się, że dotychczasowa dziewczyna nie umiała sobie poradzić z wydawaniem reszty robotnikom. Ta praca podobała mi się o wiele lepiej, bo stale coś się działo i byłam na powietrzu w czasie tego krótkiego lata.

MAMA dostała nową pracę jako *Izwioszczyk*, czyli woźnica. Doskonale radziła sobie z koniem i woziła drzewo i co tam było potrzeba. Pewnego dnia jeden z robotników sowieckich zrobił jakąś sprośną uwagę na jej temat, nie wiedząc, że Zbyszek jest jej synem. W jednej chwili znalazł się na ziemi z rozkwaszonym nosem, wyśmiany przez towarzyszy.

Spław się skończył i robotnicy odjechali. Skończyły się też komary, które zaraziły nas wszystkich malarią. Nie dochodziły do nas żadne wiadomości ze świata. Wiedzieliśmy, że Rosja jest w wojnie z Niemcami, ale jaki to miało wpływ na nasze losy nikt nie mógł przewidzieć. Życie na posiołku płynęło swoim trybem. Nasza rodzina była w specjalnych „łaskach" u komendanta, któremu nie udało się kupić jedynego, cywilnego ubrania, z którym Zbyszek nie chciał się rozstać. Komendant nigdy takiego garnituru nie widział i był wściekły, że nie może go dostać. Zjawiał się o północy jak cień i stawał w drzwiach naszego pomieszczenia, lustrując co robimy. Kiedyś kopnął skrzynkę pod łóżkiem, w której trzymaliśmy trochę zdobytych kartofli... oczywiście posypało się trochę kurzu — na to pan komendant zawołał: *ot kulturne*

Oczywiście przepustki nie dostałam. Szybko opuściłam jego biuro, bo z trudem powstrzymywałam się od śmiechu. Po pewnym czasie, kiedy już głód dawał się nam dobrze we znaki, postanowiłam jednak pójść na wieś bez pozwolenia. Wyszłam bardzo wcześnie rano. W wiosce udało mi się zamienić prześcieradło na 2 pudy kartofli, więc wracałam do domu bardzo szczęśliwa. Szliśmy drogą z powrotem, a ja ciągnęłam na prymitywnych saneczkach worek z kartoflami. W pewnym momencie usłyszeliśmy z tyłu dzwoneczki. Na drodze za nami ukazały się sanie. Ktoś jechał do naszego posiołka! Struchlałam! Nie było gdzie się schować, bo po obu stronach koleiny był głęboki, zamarznięty śnieg. Usunęliśmy się z drogi, żeby sanie mogły przejechać, jak skuliłam się w sobie i czekałam co będzie. Na moje nieszczęście był to sam pan komendant ze swoją żoną, którzy wracali z miasteczka. Przejechali koło nas a komendant uważnie nam się przyjrzał. Dowlekłam się do posiołka z ciężkim sercem, bo i kartofle były ciężkie i miałam jak najgorsze przeczucia. Za taką sprawę mogłam być odesłana na sąd i do *dziet domu*, gdzie już ślad po mnie by zaginął. Na drugi dzień wezwał on mamę i jakoś szczęśliwie skończyło się tylko na ostrzeżeniu. Od tej pory już nigdy nie odważyłam się na wyprawę do wioski. Kartofle oczywiście zmarzły, trzeba więc było je zużyć jak najprędzej.

Wszyscy chodziliśmy na robotę, tylko dziadek siedział na łóżku cały dzień i rozmyślał. Oczywiście był ciągle głodny, bo jego przydział jako nie pracującego był bardzo mały, a nasz w tym czasie wynosił tylko 200 gr. Kupowało się całą należność rano i dzieliło na 4 równe części, co wypadało po grubej kromce chleba na osobę. Każdy miał swój sposób jedzenia. Ja i mama dzieliłyśmy naszą porcję na połowę, żeby mieć coś na później. Zbyszek zjadał wszystko od razu i miał spokój, a dziadek nie mógł uwierzyć, że to jest wszystko co nam dają. Był już coraz słabszy i pewnie miał sklerozę. Dziwne to, że nie pamiętam dokładnie tej daty, ale gdzieś, w sierpniu 1941 r. wezwano nas na *miting* i okazało się, że już nie jesteśmy *peresielieńcy*, tylko wolni ludzie, i możemy wyjechać na południe, gdzie po-

dostali pozwolenie na wyjazd. W październiku pożegnaliśmy więc Zbyszka, który wyjeżdżał z ciężkim sercem nie wiedząc, kiedy się znowu zobaczymy.

* * *

Zostaliśmy więc sami w pustych barakach: mama, dziadek i ja... ale nie na długo! Po paru tygodniach nasz barak zapełnił się całkowicie. Wokół nas rozbrzmiewała dziwna mowa, przy akompaniamencie płaczu dzieci i kłótni kobiet — w obcym języku. Okazało się, że przywieźli do nas prostytutki z Karelii, razem z dziećmi, których każda miała po kilkoro.

Dla nas zaczęła się gehenna. My obydwie chorowałyśmy na malarię, a dziadek był coraz słabszy. Tymczasem w styczniu nareszcie przyszło *udostowierenie* dla mamy i dziadka, ale o wyjeździe, nie mogło być mowy, ze względu na dziadka, który już ledwie się ruszał. Wkrótce zmarł.

Wyjazd z posiołka

W kilka dni po pogrzebie dziadka obie z mamą poczułyśmy się lepiej i postanowiłyśmy jak najprędzej wyjechać. Nie było już na co czekać. Wiedziałyśmy dobrze, że jak się nie ruszymy to szanse wyjazdu będą coraz mniejsze, gdyż nie leczona malaria będzie się powtarzać, a my będziemy coraz słabsze. Mama powiedziała naczelnikowi, że wyjeżdżamy, więc dostałyśmy przydział chleba na drogę i należną wypłatę, zamówiła też kołchoźnika ze wsi, żeby nas odwiózł na stację obiecując mu za to paczkę machorki. Wieczorem, ostatni raz wyszłam przed barak i tym razem opuściło mnie poczucie beznadziejności, bo wiedziałam, że cokolwiek nas czeka, to nie sprawdzą się słowa komendanta, który powtarzał nam wiele razy: *niczewo prywykniesz, zdzieś podochniesz!* (Nie szkodzi przyzwyczaisz się, tutaj zdechniesz). Las otaczał nas naokoło i było już ciemno. W miesiącach letnich o tej porze było zupełnie jasno przez całą noc, tak zwane „białe noce" spowodowane bliskością gwiazdy polarnej. Teraz jednak zmrok zapadał szybko i mróz około 40°C zmusił mnie do powrotu do baraku.

Wyruszyliśmy bardzo wcześnie, bo do stacji było 35 km. Usadowiliśmy się na saniach razem z kołchoźnikiem i wyruszyliśmy w nieznane. Po paru godzinach pogoda

ności zatrzymaliśmy się tutaj.

Nareszcie nadszedł dzień przyjazdu pociągu. Już od rana zaczęli się zjeżdżać ludzie z okolicy. Nasz kolejarz przyrzekł nam pomóc w dostaniu się do pociągu, bo to nie było łatwe. Kiedy po południu nadszedł pociąg, okazało się, że były to znowu towarowe wagony. Nasz kolejarz podsadził nas do jednych otwartych drzwi, wrzucił za nami